

Dynamika MTP

O minionych i przyszłych Targach rozmawiamy z dyrektorem Zarządu MTP - Stefanem Askanasem.

— Panie dyrektorze, wiadomo dość powszechnie, że Targi rozrastają się z roku na rok, że rośnie ich znaczenie. Zakończone przed tygodniem XXXI MTP także przewyższyły poprzednie w wielu wskaźnikach. Na przykład w jakich?

— Przede wszystkim wzrosły o 6 procent obroty w porównaniu z Targami ubiegłorocznymi, spełnione zostały przy tym wszystkie warunki założone na rok bieżący, albowiem bardzo poważnie, aż o 20 procent, wzrósł eksport, na czym nam szczególnie zależało. Na minione Targi przybyło o ponad 1500 cudzoziemców więcej, niż w roku ubiegłym, kiedy to gościliśmy ich o 2250 więcej, niż w roku 1960. Widzimy tu więc coroczny, znaczny wzrost zainteresowania.

— Czy w związku z tym nie zabrakło kwater?

— Nie, bowiem około 1000 osób z tego przyrostu stanowiły wycieczki z krajów socjalistycznych, które były zakwaterowane zbiorowo. Ponadto zaś przy lepszej organizacji handlowej Targów średni czas pobytu gości zagranicznych był krótszy, przeto wystarczała ta sama ilość kwaterek dla większej ilości gości. Przybyła na tegoroczne Targi rekordowa liczba 133 dziennikarzy z 32 krajów. Frekwencja zwiedzających zwiększyła się, zgodnie z naszymi przewidywaniami, o około 10 proc. Optycznie zmniejszony tłok wynikał ze zwiększenia powierzchni zorganizowanej.

— Już na bieżących Targach dał się odczuć brak powierzchni. Nie wszystkie kraje otrzymały tyle powierzchni wystawowej, ile sobie życzyły. Jakże są prognozy w tej dziedzinie na przyszłe Targi?

— Już w czasie trwania tegorocznych MTP takie kraje jak Wielka Brytania, Węgry, Dania zgłosiły większe zapotrzebowanie na powierzchnię wystawienniczą w przyszłym roku, niż ostatnio. Ponadto w XXXII MTP wezmą udział państwa uczestniczące co dwa lata, jak Finlandia, Maroko, Tunis. Tak więc w stosunku do zamówień zagranicznych posiadamy niedobór około 3600 m² powierzchni wystawienniczej. Pokryjemy to przez przebudowę Parku Kiermaszowego, gdzie zlikwidowane zostaną rozspujące się pawilony, których konserwacja kosztuje więcej niż ich całkowita wartość. Stanie tam pawilon podobny do tego, w którym ostatnio eksponowała Bułgaria. Da to zwiększenie o ponad 2000 m² powierzchni dotychczasowej. Ogromnie też zmieni się na korzyść estetykę tej części Targów. Równocześnie Włochy proponują nam zbudowanie własnego pawilonu o powierzchni 1500 m². Toczące się na ten temat pertraktacje zostaną zakończone pod koniec sierpnia. W ten sposób uzyskalibyśmy pokrycie całego deficytu powierzchni.

— Nie wystarcza jednak również powierzchnia dla wystawców krajowych...

— Tak, zgłaszają oni zapotrzebowanie większe o około 4000 m² niż w bieżącym roku. Na razie jednak nie znajdujemy na to pokrycia. Na podkreślenie zasługuje poważne zwiększenie roli Biura Informacji Technicznej, które już od września tego roku rozpocznie prace przygotowawcze do następnych Targów. Powołano specjalną komisję programowania prac BIT z udziałem Komitetu do Spraw Techniki, NOT, MHZ i zainteresowanych ministerstw przemysłowych oraz Centralnego Instytutu Informacji Naukowej Techniczno - Ekonomicznej,

której zadaniem jest przygotowanie planu działania BIT.

— Jakie niedostatki tegorocznych MTP będą usunięte?

— Trzeba tu wymienić niedostateczną informację wizualną, która zostanie w przyszłym roku wybitnie poprawiona. Poprawimy także informację poprzez głośniki. Zarówno „Hartwig” jak i PKS muszą posiadać więcej zmechanizowanego sprzętu, lekkiego i ciężkiego, na którego brak skarżyli się zagraniczni wystawcy.

— Czy wpłynęły jakieś nowe propozycje wykorzystania pawilonów targowych w okresie międzytargowym?

— Istnieje nowa inicjatywa Prezydium Rady Narodowej m. Poznania i Zarządu Targów co do wykorzystania nowo zbudowanych obiektów dla potrzeb miasta. W nowej Hali nr 18 ma być umieszczona centralna garmazernia, a na piętrach biuro projektów. Natomiast w Hali nr 14 prawdopodobnie zostanie umieszczona międzyzakładowa szkoła zawodowa.

— Jak wyglądają dalsze perspektywy rozbudowy Targów?

— W najbliższych dniach ogłoszony będzie otwarty konkurs na przebudowę Placu Centralnego, a specjalnie hal 4, 5, 6, 7, 8 oraz tak zwaną Hali nr 11. Rozwiązanie tego zagadnienia pokryje zapotrzebowanie Targów do roku 1968. Dalsze możliwości ujawnia się poprzez przyłączenie terenów leżących między ulicami Śniadeckich i Święcickiego. Pozostanie ostatni problem, mianowicie rozpisanie konkursu na właściwe zagospodarowanie tej części Targów, która leży w trójkącie określonym przez linie biegnące od ulicy Orzeszkowej do Hali nr 12, wzdłuż toru kolejowego, oraz wzdłuż domów spółdzielczych przy ul. Śniadeckich. Rozwiązanie tych zagadnień zabezpieczy potrzeby Targów na długie lata.

Rozmawiał:

Mieczysław Skąpski

Piotr Życki

Kowalski NIE PRZYSZEDŁ...

Ta relacja jest od A do Z autentyczna. Dotyczy jednego z większych zakładów Poznania. Czy jednego? Zdecydowaliśmy się pominąć niektóre szczegóły, mniemając, iż tak będzie lepiej.

Kierowca osadził zjeżdżającą od strony Góry Przemysłowej „Nysę” tuż przed narożnikiem ulicy Zamkowej. Teraz wszystko rozegrało się błyskawicznie. Człowiek, którego będą nazywać Kadrowcem, znalazł się przed wejściem do Wydziału Zatrudnienia. Obskoczyła go grupa mężczyzn. Młode twarze, starsze twarze, osobnicy o wyglądzie dorabiających urzędników, pozostających bez zajęcia eks-więźniów, oczekujących na dorywczy zarobek młokosów.

— Co jest szefie?

— Złeczone. Kto pójdzie na złeczone?

— Moge. Jaka robota?

— Węgiel.

— Dychę od tony?

— Człowieku, zgłupiałeś chyba: sześć dwadzieścia.

— To ja cniam.

— Z własnej kieszeni nie dołożę. Jest 5 wagonów, dwudziestotonów.

— Nie biore. Ty, Eda, idziesz?

— Bierzemy. Władek, Zyga, Cze siek — po dwa wagony szufniemy, nie?

— Możecie brać wszystkie pięć.

— Dobra. Forsa — zaraz?

— Ubrania robocze dacie?

Wkrótce wypelniony pasażerami mikrobus mknął w kierunku jednego z przedmieść. Kadrowiec uzgodnił jeszcze jakieś szczegóły, potem pochylił się do mnie:

— Dziwi się pan? A co miałem zrobić? W dzisiejszy poniedziałek po wypłacie mamy w fabryce blisko 100 chorych i trzydziestu siedmiu takich, co do roboty po prostu nie przyszli.

Z reporterskich wędrówek

Poniedziałki są ponoć najgorsze. Dzisiejsza lista jest długa, bardzo długa. Trzydziestu siedmiu ludzi nie stanęło przy maszynach. Dlaczego? To właśnie jedziemy ustalić.

Przedmieście, główna ulica, barak hotelu robotniczego. Tu mieszka Karol G.

— Karol G.? No, mieszka. Co ma być? — informujący nas młody człowiek zagradza wejście.

— Komisja z fabryki. Nie przyszedł do roboty.

— Nie przyszedł, to widocznie nie mógł. Nie przyszedł dzisiaj — przyjdzie jutro. Chory jest, no!

— Jak chory, to niech zgłosi się do zakładowego ambulatorium, ma niedaleko. Inaczej grozi mu kara za „bumelkę”. — Kadrowiec rozpoczyna dydaktyczną mowę.

— Nie biore. Ty, Eda, idziesz?

— Bierzemy. Władek, Zyga, Cze siek — po dwa wagony szufniemy, nie?

— Możecie brać wszystkie pięć.

— Dobra. Forsa — zaraz?

— Ubrania robocze dacie?

Wkrótce wypelniony pasażerami mikrobus mknął w kierunku jednego z przedmieść. Kadrowiec uzgodnił jeszcze jakieś szczegóły, potem pochylił się do mnie:

— Dziwi się pan? A co miałem zrobić? W dzisiejszy poniedziałek po wypłacie mamy w fabryce blisko 100 chorych i trzydziestu siedmiu takich, co do roboty po prostu nie przyszli.

Stanisław Konieczny

LATA TRUDNEJ WALKI

W ubiegłym tygodniu odbyła się w Poznaniu z inicjatywy KW PZPR sesja popularno-naukowa poświęcona XX-leciu PPR. Drukujemy fragmenty jednego z referatów, który wygłosił mgr Stanisław Konieczny.

Do poważniejszych problemów naszego kraju w latach 1945—1948 należała działalność podziemia i band, które zdążyły do zbrojnego obalenia władzy ludowej. Sytuacja ta stawiała przed obozem demokratycznym zadanie mobilizacji wszystkich sił celem jak najszybszej zmiany takiego stanu rzeczy. W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu realizacja tego zadania nie była jednak łatwa.

Warunki pracy zarówno aparatu milicji jak i bezpieczeństwa trzeba ocenić jako bardzo trudne. Załogi posterunków terenowych były płynne, niedoświadczone, słabo uzbrojone; brakowało odzieży, obuwia i żywności. W tej sytuacji dobrze wyposażone bandy, posiadające broń maszynową, samochody i motocykle były dla wielu posterunków, komend i placówek — groźnym przeciwnikiem. Nic więc dziwnego, że sporo posterunków i placówek UBP, zwłaszcza we wschodnich powiatach Wielkopolski, zostało rozbitych i rozbrojonych.

Olbryznym pracą w umacnianiu i stabilizacji organów bezpieczeństwa i MO dokonała PPR. Organizację partyjną delegowały wtedy do tej trudnej służby setki swych wypróbowanych członków. Oni to stanowili poważną część aparatu porządku i bezpieczeństwa publicznego i dzięki ich poświęceniu podjęto pierwsze skuteczne kroki w walce ze zbrojnym bandytyzmem. Już w kwietniu 1945 roku ruszyły do akcji pierwsze plutony operacyjne UBP i MO. Przeprowadziły one szereg zasadzek, potyczek a nawet otwartych bitew zakończonych skutecznym rozgromieniem pomniejszych band. Do szerzej zakrojonych akcji operacyjnych doszło jednakże dopiero po zakończeniu wojny, kiedy to nadeszły wojska frontowe i decyzją Krajowej Rady Narodowej utworzono specjalne formacje pod nazwą Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW).



Wiosną 1946 roku powstała sytuacja, która domagała się przedsięwzięcia radykalnych środków. W związku z tym decyzją rządu został utworzony w skali ogólnokrajowej Państwowy Komitet Bezpieczeństwa a w niektórych województwach, również w Poznańskim — Komitety Wojewódzkie Bezpieczeństwa.

Do zadań powstałego Komitetu, w skład którego wchodził przedstawiciel wojska, milicji i organów bezpieczeństwa, należało koordynowanie działań przeciwko zbrojnemu podziemi, opracowywanie planów operacyjnych oraz zapewnienie spokoju publicznego. W tym celu całe województwo zostało podzielone na tzw. rejon bezpieczeństwa, pokrywające się mniej więcej z rejonizacją band. Na każdy rejon została wyznaczona wojskowa grupa operacyjna.

W rezultacie tak rozległych i skoordynowanych działań, bandy zostały znacznie skrepowane w swoich ruchach, co w późniejszym okresie ułatwiło ich likwidację. Nadal jednakże walka z nimi była trudna i ciężka. Oto przykłady niektórych akcji. W marcu 1946 roku grupa operacyjna 10 pp i 4 DP rozgromiła 17-osobową bandę na terenie powiatu ostrowskiego. Walka z bandytami, jaka się wywiązała w rejonie wsi Bartnich toczyła się no-

cy przez trzy godziny. Bandyci bronili się w osiedlu pancerfaustami, ciężkimi karabinami maszynowymi i granatami.

W kwietniu 1946 roku w rezultacie starannie przygotowanych operacji 10 pp i 6 pal rozgromiono na terenie Krotoszyńskiego niebezpieczną bandę „Orlika”. Zdobyto wówczas dużą ilość broni i amunicji oraz radiostację.

Dzięki zwiększonej operatywności wojska, organów bezpieczeństwa i milicji przeprowadzono 78 większych akcji, w wyniku których zostały częściowo rozbite bandy: „Jezego” w powiecie Koło, „Kościuszki” w powiecie gostyńskim, „Grozno” w powiecie konińskim i „Bora” w powiecie krotoszyńskim. Ogółem ujęto 156 bandytów, zabito 23; zdobyto setki karabinów i tysiące jednostek amunicji oraz dużo innego sprzętu, jak np. samochody, motocykle, radiostacje.

Mimo ciężkich ciosów zadanych licznyemu zgromadzeniu bandyckim, stan bezpieczeństwa województwa poznańskiego przed referendami (30. VI. 1946) uległ zaledwie nieznacznej poprawie. Planowa akcja zmniejszenia siły wprowadzie podziemia do ograniczenia swej ruchliwości, lecz w obliczu zbliżającego się głosowania ludowego aktywność band widocznie wzmożła się. Zanotowano nawet próby koncentracji poważniejszych grup i podejmowania akcji większymi siłami.

Po zwycięstwie odniesionym przez władzę ludową w referendum oddziały wojska, milicji, bezpieczeństwa i KBW jeszcze wydatniej zwiększyły swą operatywność w działaniach przeciwko bandom. Poważniejszymi akcjami objęto zwłaszcza strefy szczególnego zagrożenia. 7 i 23 lipca przeprowadzono operacje przeciwko resztkom bandy „Tarczana” w powiatach konińskim i gnieźnieńskim, w wyniku których zlikwidowano całą grupę.

W sierpniu wojsko przeprowadziło ogółem 39 większych akcji wypadowych; ujęto wtedy 99 bandytów. We wrześniu w rezultacie energicznych przedsięwzięć operacyjnych zlikwidowano całkowicie bandę „Waldemara” w powiecie kepieńskim oraz bandę „Abażura” grasującą w powiatach wrzesińskim i tu-reckim; aresztowano ogółem 177 osób.

Pod nieustannym naporem wojska, osaczone i rozproszone niedo-

Dokończenie na str. 3

— Kpisz sobie z roboty. Jak to sobie wymyśliłeś? Z rana nikt, a po południu dwóch was stanie przy jednej maszynie? Rób tak dalej, to pożegnasz się z fabryką — Kadrowca, mimo otrząskania z podobnymi sytuacjami, opuszcza spokój.

— Karol G.? No, mieszka. Co ma być? — informujący nas młody człowiek zagradza wejście.

— Komisja z fabryki. Nie przyszedł do roboty.

— Nie przyszedł, to widocznie nie mógł. Nie przyszedł dzisiaj — przyjdzie jutro. Chory jest, no!

— Jak chory, to niech zgłosi się do zakładowego ambulatorium, ma niedaleko. Inaczej grozi mu kara za „bumelkę”. — Kadrowiec rozpoczyna dydaktyczną mowę.

— Nie biore. Ty, Eda, idziesz?

— Bierzemy. Władek, Zyga, Cze siek — po dwa wagony szufniemy, nie?

— Możecie brać wszystkie pięć.

— Dobra. Forsa — zaraz?

— Ubrania robocze dacie?

Wkrótce wypelniony pasażerami mikrobus mknął w kierunku jednego z przedmieść. Kadrowiec uzgodnił jeszcze jakieś szczegóły, potem pochylił się do mnie:

— Dziwi się pan? A co miałem zrobić? W dzisiejszy poniedziałek po wypłacie mamy w fabryce blisko 100 chorych i trzydziestu siedmiu takich, co do roboty po prostu nie przyszli.

Dokończenie na str. 2

Maciej Olszewski

POD BOKIEM CANARISA



Co prawda 4 sierpnia 1941 r. na odprawie w Nowym Borysowie Hitler nie podjął jeszcze decyzji co do kierunku zmasowanego uderzenia Wehrmachtu, mającego przesądzić losy kampanii przeciwko ZSRR. Ale szef Sztabu Generalnego OKH — gen. Halder prowadził już w ciągu następnych dni ściśle tajne przygotowania do operacji głównych sił Wehrmachtu z rejonu Mohylewa i Homla na Briańsk, następnie zaś — po przełamaniu słabego kordonu jednostek Armii Radzieckiej — na Orzel i nie zabezpieczoną jeszcze Moskwę. Ani nie podejrzewano w hitlerowskim dowództwie, że plany te były już znane dokładnie na Kremlu i w związku z tym podejmowano już przygotowania do należytego powitania w rejonie Briańska sierpniowego zagonu dywizji pancernych Guderiana. I to w tych stłumionych nieomal rezerwach, jakimi dysponowało w tym czasie dowództwo Armii Radzieckiej.

Tajemnica Frontu Briańskiego

Nocą z 12 na 13 sierpnia w Kwaterze Głównej Armii Radzieckiej na Kremlu, wezwany pośpiesznie generał Jeremienko otrzymał od szefa Sztabu Generalnego Szaposznikowa polecenie zorganizowania z rezerw specjalnego Frontu Briańskiego. Siły tego frontu, osłaniając z południowego zachodu moskiewski rejon strategiczny, miały bronić kierunku na Briańsk, następnie zaś rozgromić w rejonie tego miasta zgromadzone uderzeniowe Wehrmachtu, które ma zająć Moskwę. „Jutro jedźcie — powiedział na pożegnanie Jeremienko Stalin — i natychmiast organizujcie front(...) Będą się tam toczyć ciężkie walki(...) Spotkanie tam wojska zmechanizowanego waszego starego znajomego Guderiana, którego zwycięstwo powinny wam być znane...”

W efekcie opór, na jaki natrafili na kierunku Briańskim silne oddziały rozpoznawcze grupy Guderiana, doprowadził do tego, że 21 sierpnia Hitler postanowił zrezygnować z zajęcia Moskwy i zmieniając kierunek natarcia, rzucić główne siły Wehrmachtu na Ukrainę. Kiedy zaś jesienią 1941 roku podejmie próbę zdobycia Moskwy, będzie już za późno. Nowe, sformowane tymczasem dywizje Armii Radzieckiej, zadadzą Wehrmachtowi druzgocącą klęskę na przedpolach stolicy Kraju Rad.

Kto jednak dopomógł w owych ciężkich chwilach Armii Radzieckiej? Kto zdobył i przekazał do Moskwy plan Haldera: zmasowanego uderzenia na stolicę Związku Radzieckiego nie najkrótszą drogą wzdłuż autostrady smoleńskiej, a sierpniowym zagonem z południowego zachodu poprzez Briańsk?

Dziś wiadomo już, że bezpośrednio na Kreml informacje te przekazał drogą radiową z Zurychu jeden z asów wywiadu radzieckiego — Aleksander Rado. Do Zurychu jednak owe niezmiennie ważne dla obrońców Moskwy informacje, dostarczone zostały drogą radiową z Berlina, przez działaczy jednej z grup niemieckiego ruchu oporu, która do historii zmagani ludzkości z hitleryzmem przeszła właśnie pod nadaną jej przez hitlerowski kontrywywiad kryptonimową nazwę „Rote Kapelle”. Podczas gdy część członków owej grupy — w znacznej mierze radykalnych inteligentów — tworząc tak zwany „krag wewnętrzny” przenikała do najtajniejszych nawet ogniw maszyny militarnej Trzeciej Rzeszy, działacze tak zwanego „kragu zewnętrznego” utrzymywali systematycznie kontakt radiowy z placówkami wywiadowczymi Armii Radzieckiej. Zdobywając w ten sposób i przekazując natychmiast we właściwe ręce niezmiennie ważne informacje, przyczynili się w poważnej mierze do uratowania świata przed następstwami zwycięstwa imperializmu niemieckiego. Oto tylko przez pomoc okazaną Armii Radzieckiej, narazili Wehrmacht na straty oceniane później przez admirała Canarisa (najbardziej kompetentnego w tych sprawach — szefa Abwehry odpowiedzialnej za zwalczanie tego rodzaju działalności) równe armii liczącej 300.000 żołnierzy.

Tylko, aż do wiosny 1942 r. Abwehra mogła jedynie odnotowywać coraz bardziej ożywioną działalność „Czerwonej Kapeli”: ustalić np., że ogółem na terenie Europy pracuje, posługując się tajemniczym, nieznanym i niemożliwym do ustalenia szyfrem, lub nadając audycje, nawołujące do walki z hitleryzmem, blisko 100 „czerwonych muzykantów”.

Jedyny natomiast sukces w ich zwalczaniu, jakim mogli pochwalić się aż do maja 1942 r. ludzie Canarisa, odniesiony został przez Abwehrę 21 grudnia 1941 roku.

Odkryte nuty

Mroźny wiatr pędzi krupy śniegu przez brukselski Place de la Duchesse de Brabant. Jest już po godzinie policyjnej. Ulice zaciemnione miasta są puste. Tylko z dwóch samochodów, które przemknęły przez plac skręciły z przegazonymi silnikami w pobliską Rue des Quadres Vents, wysiada kilku mężczyzn. Po cichu obstawiają jedną z willi, zdawałoby się — niezamieszkałą. Kiedy jednak dwaj osobnicy gwałtownym naporem swych ciał wyłamują wprawnie drzwi wejściowe, przez krótką chwilę pada na nich światło kieszonkowej latarki kogós, kto czatował w klatce schodowej willi. Słychać jęk, struska światła gaśnie. Napastnicy pędzą po ciemnych schodach na drugie piętro i tu wysadzają jeszcze jedne drzwi. Z nad stojącej w kącie oświetlonego pokoju radiostacji, podrywa się jakaś kobieta. Napięty kabel zdiera jej z głowy słuchawki. Jeden z dwóch siedzących przy niej mężczyzn gwałtownym ruchem zmiata ze stołu rozłożone papiery i wrzuca je wywieszonym ruchem do pobliskiego kominka, w którym buzuje ogień. Drugi chwytając broń. Za późno. Pierwsi strzelają napastnicy...

Ale nawet ujęcie ciężko rannych pracowników wywiadu radzieckiego starszego lejtnanta Makarowa i lejtnanta Daniłowa oraz radiotelegrafistki, o której zdołano się dowiedzieć tylko tyle, że jest Rosjanką i ma na imię Zofia — nie dostarczyło jeszcze Abwehrze poszukiwanego klucza do rozwikłania tajemnicy „Czerwonej Kapeli”. Ślad się urywał.

Dopiero w maju 1942 r. Abwehrze udało się złapać w pułapkę — nastawianą od owego grudniowego wieczoru właśnie w Brukseli — innego „czerwonego muzykanta”. Tym razem — niemieckiego komunistę Wilhelma Schwarza. Znalezione przy nim szyfr, został natychmiast przekazany najlepszym specjalistom Abwehry...

Stara depesza

W miarę jak rozwiązywali oni tajemnice radiogramów, rosło zdenerwowanie odpowiedzialnych za bezpieczeństwo tajemnic Trzeciej Rzeszy pracowników siatki Canarisa. Oto meldunki nadal koncertującej „Kapeli” zawierały tak dokładne i ważne informacje, że mogły pochodzić tylko od ludzi pracujących w najwyższych i najważniejszych placówkach państwowych i wojskowych brunoatnej maszyny. Nadal jednak wiedzano tylko tyle, że jeden z informatorów nosi pseudonim „Coro”, drugi zaś „Arvid”. Stanowczo zbyt mało, by można było przerwać ich działalność. Zwłaszcza, że mimo wciąż gnębienia do współpracy rywalizującego z Abwehrą i dlatego tylko traktowanego z niechęcią Gestapo, nie zdołano dokonać dalszego

Wśród wielu sztuk wykształconych przez wiek XX poczesne miejsce zajmuje i świetnie się rozwija sztuka dokuczania. Dla przykładu: masz, przypuśćmy, sąsiadkę (kto nie ma sąsiadek?), która mieszka ponad tobą i która nie znosi czy też nie uznaje domowych pantofli. No cóż, rzecz gustu, święte prawo. Ale jeśli do późna w noc słyszysz nad sobą głośnie stuk-puku, raz wolno to znów ostrzej we wszystkich możliwych tempach — i tak co dzień, co noc — to zaczynasz tracić sen, potem pogodę ducha, potem apetyt, na koniec wszelką cierpliwość. Kupić sąsiadce pantofle i posłać jej przez umyślnego? Obrazi się niechybnie. Dumas po nocach i nie wymyślić nie możesz, bo nic tu od ciebie nie zależy, wszystko natomiast zależy od sąsiadki. Albo masz sąsiada (kto nie ma sąsiada?), który kocha psy. Piękne, szlachetne hobby. Ale jeśli te psy szczekają ci ciągle za ścianami i pod oknami, to kogo masz zniecierpliwienie — psy czy sąsiada? Nie wiadomo.

Nie zalecam bynajmniej, by wszędzie i zawsze zachowywać się w myśl zasady: „przepraszam, że żyję”. Ale jakby to było pięknie, gdyby każdy obywatel przypomniał sobie przynajmniej od czasu do czasu o tym, że nie jest sam nie tylko na świecie ale na ulicy, w kamienicy, na podwórzu i na klatce schodowej...

A teraz o innych, niepozornych acz skutecznych sposobach dokuczania. Oto jakaś wytwórnia wypuściła na rynek papierosy takie to a takie. Ale właśnie kiedy przyzwyczaiłeś się do tych papierosów tak, że inne wydają ci się niegodne podniebienia — twoje ulubione zaczynają znikać stopniowo, etapami. Najpierw pojawiają się przerwy, coraz rzadziej — i wtedy ganiasz po mieście z przystawionym językiem na brodzie, kłaniasz się sympatycz-

Bogusław Kogut

O sztuce dokuczania

nym kioskarkom, którzy tylko rozkładają ręce. Klniesz w duchu i mówisz sobie, że jutro będzie lepiej. A jutro twoje ulubione znikają ostatecznie i na zawsze. Zostajesz sam, smutny i zdradzony. Przez kogo? Przez kogoś, kto bardzo lubi dokuczać, kto absolutnie nie liczy się z tym, dla kogo i w jakim celu produkuje swoje wytwory. A może to jest taki sposób na odzwyczajanie ludzi od palenia, dla ich dobra, oczywiście?

Albo: Chcesz kupić dla swej latorośli na koniec roku szkolnego,



albo na imieniny, piłkę, zwykłą piłkę do kopania. Są piękne piłki, bardzo nawet nowoczesne, nie trzeba ich sznurować — za moich czasów sznurowało się piłki, proszę państwa, co to był za kłopot! Są więc te piłki, ale pompek do nich nie ma. Nawet w sklepie, na miejscu nie mogą ci tej piłki napompować. A chciałbyś sprawdzić — bo skąd możesz wiedzieć czy w tej piłce nie ma dziury, a w ogóle mogą być w niej karaluchy albo OASowski plastik. To już twoje ryzyko, twoja głowa niech cię boli. Może dostaniesz tę pompek w Lublinie albo Ostródzie — powiedz więc swej latorośli: „jedź, dziecko, do Lublina albo do Ostródy, albo rób sobie co chcesz do jasnej ciśnień! Ojciec nic już ci nie pomoże, ojciec nie jest cudotwórcą!”. A może te małe figle z pompkami to dlatego, by oduczyć młode pokolenie kopania piłki po

podwórzach, a starsze pokolenia odzwyczajając od dawania swoim dzieciom prezentów? Nie wiem. Ale to jest pewne, że ciebie, amatorze ulubionych papierosów i snobie, chcący sprawiać prezenty, ciebie to wszystko przyprawia... Właśnie, o co?

Te tak okrzykane i ośławione nerwice i inne choroby cywilizacyjne zaczynają się od wszelkiej nadmiernej denerwacji, ziej krwi — czyż nieprawda?

Takich przykładów można byłoby zresztą przytaczać tysiące — gdzie jeden człowiek, zapominając że nie jest sam i nie tylko dla niego istnieje świat — obrzydza drugiemu życie, dokucza permanentnie, z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Jak temu zaradzić? Jak przekonać kogoś, by dla sportu nie zapuszczał swego „Junaka” co dzień o szóstej rano, nie gwizdał tam gdzie nie musi, nie trząsał drzwiami, nie okazywał na każdym kroku, że ustat lewą nogą albo że mu się przysniła teściowa? Jak spowodować cud, w którego skutkach zaistnieje sytuacja, że skoro chcesz „Sporta” to nie musisz „Rarytasa” i odwrotnie, że jeśli kupisz piłkę do kopania to nie będziesz musiał biegać do ligowego „Lecha” albo do egzilowej „Warty”, by ci tę piłkę napompowano? Może to jest w ogóle niemożliwe, może to jest marzenie ściętej głowy? A może to jest tylko kwestia braku ogólnej kultury, czyli nadmiaru sobokostwa i egoizmu? Nie tylko zresztą u różnych sąsiadek i sąsiadów — ale także u producentów, dystrybutorów i te pe? Stawiam tylko pytania, które — oby zastanowiły tego lub owego z bliznich.

skutkuje, drzwi nie są zamknięte. No tak: dostatnio umeblowany pokój, okrągły stół, radio, tapczan i Jan K. z jakimś facetem. Na stole karafka, rolmopsy, chleb.

— Aaa, witamy eeepppersonalnego! Pan się z nami na-pi-je, nie?!

*

I jeszcze centrum miasta. Wielka kamienica. Oficyna, drugie piętro. Na drzwiach wprowadzie nie widnieje nazwisko Barbary, lecz jakieś inne, ale ona tu mieszka. Kądowniec zmuszony jest wizytować ją nie po raz pierwszy. Długie pukanie. Barbara Z. w szlafroku. Wystarczy rzut oka, by ocenić, że zbyt dużo wypila. W pokoju ślady libacji. Pusty syfon. Stos niedopałków. Męskie spodnie przewieszone przez krzesło. I pytanie Barbary:

— Panowie, która właściwie godzina?

— Dochodzi piętnasta. Znowu nawaliłaś z roboty, dziecino...

*

Jest już późno, upał dokucza w ciasnym pudle auta. A dojrzałyśmy zaledwie do połowy „listy trzydziestu siedmiu”. Kończąc rozmowę z Kądowncem, przerywaną wielokrotnie wizytami w domach tych, którzy nie przyszli: — „Obserwowaliśmy dzisiaj skitki. A przyczyny?

— „Lekceważą sobie pracę, bo o nią łatwo. W Poznaniu na ogół mówią o braku ludzi. To jest mit, który należy zwalczać. Nie cierpiemy na brak ludzi; daje się nam za to we znaki wadliwe ich rozstawienie. Nasza fabryka na przykład potrzebuje mężczyzn, bo praca jest cięższa. Nie możemy ich znaleźć, gdyż zatrudniono ich gdzie indziej — przy lepszej robocie. Zajęli oni tym samym stanowiska, odpowiednie dla kobiet. A ile ich czeka na zatrudnienie w Poznaniu? Na pewno wiele, wiele razy więcej, niż notują to urzędowe dane.

*

Czy rację miał Personalny? Wystarczy zapoznać się z sytuacją kadrową „kobiecych” zakładów pracy: jaka tam panuje dyscyplina, ile tam stara się o przyjęcie niewiast.

W Poznaniu nadal ma być rozbudowywany przemysł. Niektórzy w związku z tym powiadają, że to nonsens, gdyż nie ma ludzi.

Kiedy położymy kres trwaniu tego mitu? Wtedy, gdy uporządkujemy wreszcie gospodarowanie siłą roboczą. Czy rozpaczliwe rajdy kadrowców na ulicę Zamkową nikomu nie mówią?

PIOTR ŻYCKI

Kowalski NIE PRZYSZEDŁ...

Dokończenie ze str. 1

nie czynił starań o urlop. Czesław Z. najzwyczajniej zbumelował.

*

Środa to miasto-hotel. Stąd i z okolicy do fabryki, o której mowa, dojeżdża spora grupa ludzi. Jedną z głównych ulic, numer 26. Dom w podwórzu, mieszkanie na poddaszu.

— Czy zastaliśmy Apolonie W.? Ach, pojechała do pracy... Ciekawe, my właśnie jesteśmy z fabryki, jak to dziś do roboty się nie stawia. Dziwne? Może. Ale prawdziwe. Pani jest matką?... Trzeba lepiej kontrolować, co córka porabia. Bo inaczej może być niedobrze. Dziś potrącenie, jutro nagana...

*

Wież w okolicy Miłosławia. Spółdzielcze zabudowania. Tu mieszka jeden z chłopów-robotników, których fabryka zatrudnia aż 30 procent — Bronisław K.

— Pojechał rano do Środy do lekarza, miał zawroty głowy — mówi kobieta, która okazuje się jego żoną. Znowu Środa. Przychodnia lekarska. Doktor M.:

wyłomu w sieci radiowej tajemniczego wroga. Nadal pracowały bezkarnie w Berlinie nieuchwytnie na skutek swej ruchliwości dwie najsilniejsze radiostacje „Czerwonej Kapeli”.

Wnuk Tirpitz

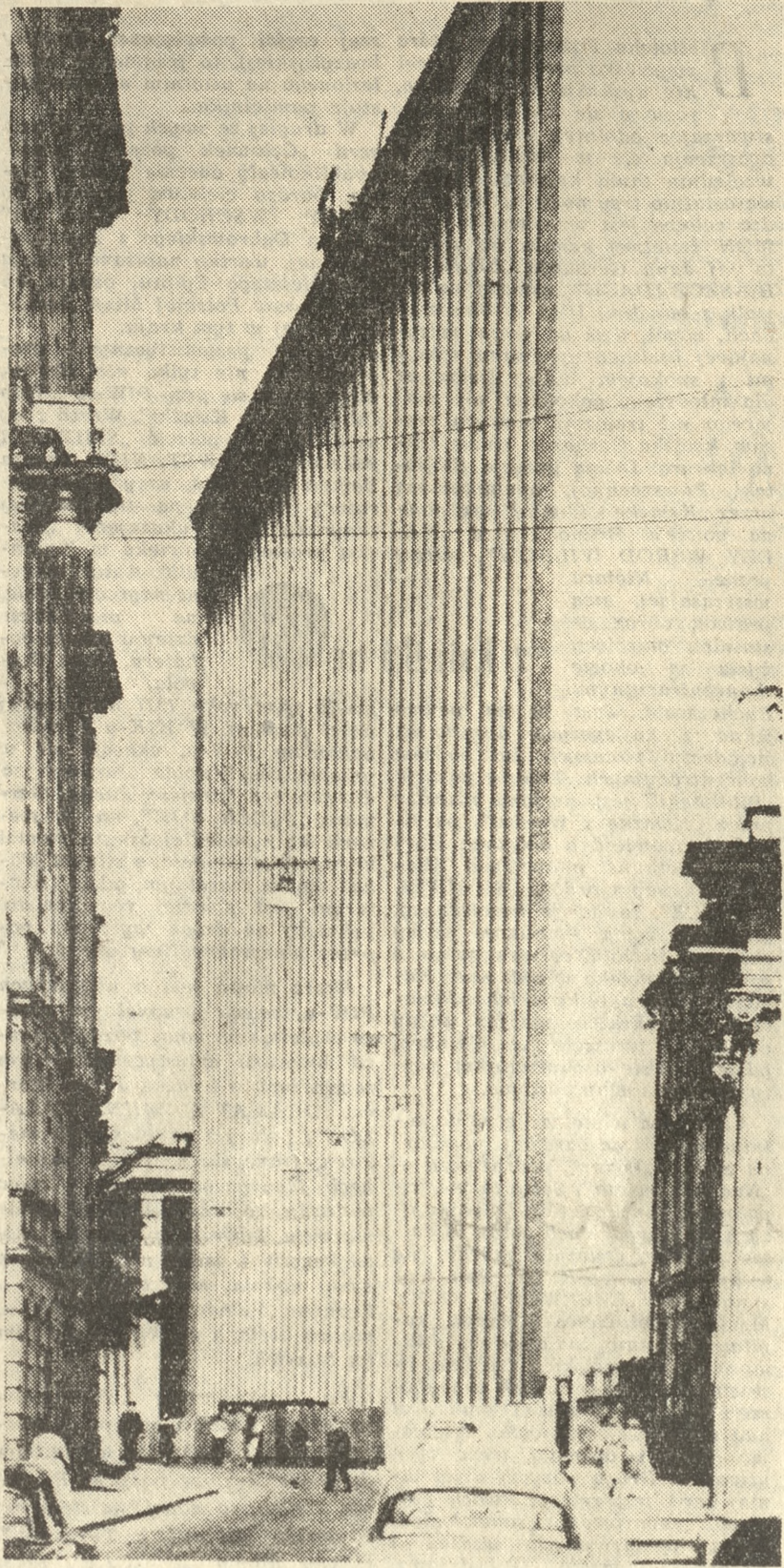
Dopiero w końcu sierpnia 1942 roku, kiedy jeden z całego sztabu deszyfrantów, parających się dzień i noc wykryciem tajemnic „Rote Kapelle”, rozwiązał cyfrowy tekst jednej z pierwszych depesz, przejętych w sierpniu 1941 roku przez centralę nasłuchu w Cranz, znaleziono informację, których domagał się kategorycznie Canaris i kierujący wydziałem do spraw wywiadu zagranicznego w SS-Sicherheitsdienst Schellenberg. Oto autor zaszyfrowanej depeszy, prosząc o skierowanie drogi powiatowej do Niemiec jednego z przebywających na emigracji w Związku Radzieckim działacza Komunistycznej Partii Niemiec, podawał zarazem adresy pod które powinien się zgłosić przybył.

Gestapo zaczęło je sprawdzać. Już pod pierwszym z nich mieszkał porucznik Luftwaffe, Harro Schultze-Boysen, pracujący w ministerstwie lotnictwa; ze względu na swe pochodzenie — był wnukiem samego wielkiego admirała Tirpitz — dopuszczony przez snobistycznego Goeringa do kręgu wyjątkowo zaufanych osób...

Za tydzień:

Następne adresy—Aresztowania—Nie wytrzymał śledztwa

Stulecie Biblioteki im. Lenina



Przed stu laty — w 1862 r. — otwarta została w Moskwie pierwsza biblioteka publiczna, od 1925 r. Państwowa Biblioteka ZSRR im. W. I. Lenina. 1 stycznia 1926 r. zbiory biblioteki liczyły 22 miliony książek, kompletów gazet i czasopism. Dla porównania warto dodać, że początkowo księgozbiór wynosił 100 tysięcy tomów. Biblioteka posiada 22 czytelnie, które mogą pomieścić jednorazowo 2330 ludzi. W ub. r. korzystało z biblioteki 200.000 osób. Biblioteka im. Lenina prowadzi wymianę książek z 80 krajami. Na zdjęciu: gmach Biblioteki. Fot. — CAF

Irena Solińska

BESTSELLERY z MYSZKĄ

Jan i Zofia z Małaskich Kraszewscy mieszkali w Grodzieńskim lecz skoro miał przyjąć na świat ich pierworodny, zaniepokojeni sytuacją polityczną burzliwego roku 1812, przenieśli się do Warszawy. Tutaj właśnie przy ulicy Aleksandrya nr 2768, urodził się 28 czerwca Józef Ignacy. Wkrótce rodzice powracają w swoje strony, syn zaś pobiera najpierw wykształcenie domowe, potem w gimnazjum, by jako 17-letni młodzieniec na Uniwersytecie Wileńskim już tłumaczyć Plutarcha.

Represje carskie po upadku powstania listopadowego — Kraszewski przez pewien czas przebywał w więzieniu — nie sprzyjały zbyt twórczości, choć młody autor ma już za sobą kilka drobnych utworów w „Bałamucie Petersburskim” i „Noworoczniku” — pisując pod własnym nazwiskiem lub jako Kleofas Fakunda Pasternak. W latach 1832—1840 przygotowuje się zatem do właściwego startu w literaturze, czyniąc to pod surową krytyką ówczesnych Arystarchów, która ocenia dość nieprzychylnie niektóre z jego pierwszych utworów.

Czym jednak istotnie Kraszewski — pisarz, który pozostawił po sobie ponad 500 tytułów samych tylko powieści (obok wielu innych publikacji), bijąc tym samym światowy rekord literackiej płodności utorował sobie drogę do serc i umysłów swoich i... naszych współczesnych?

Nie bez znaczenia dla ugruntowania kultu autora „Starej Baśni” jest fakt, iż pozostał i tworzył w kraju jakby na przekór polityce Nowosiłcowa, aż do roku 1863, gdy to margrabia Wielopolski dał mu do zrozumienia że jednak powinien wyjechać. Do tego czasu zdążył jednak pisarz stworzyć szereg dzieł określanych przez historyków literatury mianem powieści ludowych („Ulana”, „Ostap Bondarczuk”, „Jaryna”), w których po raz pierwszy w dziejach polskiego piśmiennictwa pojawia się problem wsi pańszczyźnianej, pokazanej z dużym znawstwem i bogactwem realiów obyczajowych. Rzetelność źródłowa — Kraszewski był zamilowanym szpicerem — zadecydowała też w dużej mierze o poczytności ogromnego cyklu historycznego. Zasiadł do niego niemiłosiernie już Kraszewski i w ciągu 10 lat napisał cykl 90 powieści, stanowiących niejako zbeletryzowaną historię Polski od „Starej Baśni” po „Saskie ostatki”. W historii światowego piśmiennictwa również rzecz bez precedensu.

Prawie niemożliwością przy tak gigantycznej pracy było zadbanie o staranność formy, czy odkrywczą konstrukcję. Autor, podjawszy cykl nie dla zysku i sławy lecz z poczucia patriotycznego posłannictwa, pisać musiał równocześnie kilka pozycji. Tylko swej wielkiej rutynie zawdzięczać może, iż nie poplątał się nigdzie wątki, a wśród setek

najróżniejszych postaci jakie powołał do życia na stronach swych książek, nie znajdziemy dwóch do siebie podobnych.

Jeśli chcemy jeszcze pełniej zrozumieć na czym polegały zasługi „około Ojczyzny”, dorzucmy słowa T. T. Jeża:

„Dzięki Kraszewskiemu powstały czytelników zastępy nowe... Powieści Kraszewskiego szły w obieg, rozchodzą się do rąk paników i odczytywane, przechodziły via kredens i garderobę pod strzechy ekonomskie, na posiłek ekonomów, praktykantów gospodarskich i prowentowych”.

Zjawisko, które intryguje

W każdej polskiej bibliotece publicznej, czy to gromadzkiej czy miejskiej, w katalogu alfabetycznym pod literą K najwięcej kartek należy do J. I. Kraszewskiego. Stąd i tomy tego autora zajmu-

W 150 rocznicę urodzin J. I. Kraszewskiego

ją pokaźną ilość miejsca na regałach.

Ale czy istotnie zajmują? Niezupełnie. Choć niektórych tytułów biblioteka posiada po 2—3 egzemplarze, na półkach nie znajdziesz ich na zawołanie. Ciągła popularność Kraszewskiego, to zadziwiające zjawisko w naszym życiu kulturalnym, intryguje wielu ludzi.

Dlaczego z myszką?

Większość intelektualistów patrzy dziś na Kraszewskiego z przymrużeniem oka. Wprawdzie nawet najbardziej zadziorni krytycy nie przypuścili dotąd szturm na potężny bastion 500 książek, lecz złośliwości na ten temat nie brak. Czytelnik Kraszewskiego? — od razu wiadomo kto zacz.

Skoro jednak ten właśnie czytelnik stanowi tak duży obóz, warto go bliżej poznać. Sądzę iż ciągle jeszcze dokonując się w naszym kraju rewolucja kulturalna znalazła w autorze „Starej Baśni” dobrego sprzymierzeńca. Mimo wielu znakomych pozycji w naszej współczesnej literaturze, Kraszewski nadal, podobnie jak przed stu laty, przysparza nam „czytelników zastępy nowe”.

Trafia do nich na dwóch zasadach. Po pierwsze, dlatego że jego książki nasycone polskością w ogólnym tego słowa znaczeniu, przyprawione sentymentem, podniosłym patosem, z umiejętnie wplątanym wątkiem miłosnym, z wyraźną sympatią autora dla postaci szlachetnych i pokrzywdzonych, pozostały bliskie upodobaniom polskiego czytelnika. Powieść historyczna przemawia w dalszym ciągu do młodego pokolenia i zastępy ludzi do-

kształcających się o wiele plastyczniej i żywiej, niż suchy podręcznik.

Drugi aspekt, to przystępność formy Kraszewskiego, owej formy nie najlepszej, krytykowanej już przez jemu współczesnych, ale zato nieskomplikowanej dla początkującego czytelnika.

I dlatego Józef Ignacy Kraszewski długo jeszcze pozostanie pisarzem najszerzych kręgów czytelników.

LATA TRUDNEJ WALKI

Dokończenie ze str. 1

bitki band zaczęły przeżywać procesy upadku ducha i rozkładu. Przyczyniała się do tego również stopniowa lecz stała utrata wpływów wśród nekanej i grabionej ustawicznymi napadami ludności. W rezultacie notowano coraz częstsze przypadki ujawniania się przed władzami. W końcu września np. ziożyła broń i oddała się w ręce władz niebezpieczna banda „Kosciuszki” w składzie 28 ludzi.

Po zwycięstwie wyborczym demokracji w dniu (19. I. 47 r.) zbrojny opór reakcji zaczął słabnąć. Większość członków band miała już dość ciężkiego życia w lasach i widząc wzrastającą w społeczeństwie wrogość wobec bratobójczych metod walki otwarcie już demonstrowała niechęć służenia swym prowodyrom.

W lutym Rząd PRL ogłosił amnestię. Równocześnie dowództwo WP oraz Minister BP wydał rozkaz, zawieszający wszelkie operacje wojskowe przeciwko bandom na czas trwania amnestii tj. do 25 kwietnia 1947 roku. W rezultacie doszło do masowego ujawniania się i składania broni. Według niekompletnych sprawozdań Wojewódzkiego Komitetu Bezpieczeństwa ogółem zgłosiło się u władz na obszarze województwa poznańskiego — 561 członków band organizacji konspiracyjnych. Był to już zupełny rozpad reakcyjnego podziemia.

Dowództwo naczelne WP zarządziło równocześnie powrót oddziałów wojskowych do garnizonów. Dalszą walkę z pozostałymi bandami rabunkowymi toczyły oddziały tylko organa bezpieczeństwa, milicji i KBW. Dzięki ich energicznym akcjom w połowie 1948 roku woj. poznańskie zostało całkowicie uwolnione od bandytyzmu. Władza Ludowa zapewniła ludności miast i wsi pełne warunki do rozwinięcia pokojowej pracy.

STANISŁAW KONIECZNY

Wśród wydanych w latach ostatnich zbiorów wierszy poetów zachodniej i północnej Polski znajduje się już niejeden tomik, świadczący o indywidualnym stylu i odrębności tematycznej. Pisałem o nich w poprzednich felietonach tego cyklu, pomieszczonych w „Głosie Tygodnia”.

Jednakże w większości tych poetycznych zbiorów dominuje dążenie do notowania wymyślanych sytuacji lirycznych, najczęściej bez wystarczającej potrzeby, po to tylko chyba, ażeby zadokumentować, że i my nie gorszy, że też tak potrafimy, jak dyktuje dzisiejsza wierszopisarska moda. Podczas lektury te poezji natrafia się więc na przedziwne tła i style, najczęstszym bez zachowania przewodu logicznego i bez zdania sprawy, o co chodzi danemu młodemu poecie.

Na grudniowym Festiwalu Poezji w Poznaniu Ryszard Matuzewski określił to zjawisko tak:

„Owa fałszywa poezja wnętrza, która nie znajduje dla siebie ekwiwalentu w sferze myśli ani odkrywczego obrazowania, to odkonkretnienie i amorfizm wizji poetyckiej, to po prostu młodopolski lub ekspresjonistyczny epigonizm”.

Matuzewski uderzył w najsłabsze ogniwo współczesnej twórczości poetyckiej, wychodząc z analizy utworów poetów znanych już w kraju.

Miał zatem zadanie łatwiejsze. Ostatecznie tomiki poetów z centralnych ośrodków kraju były przedmiotem systematyczniejszej oceny krytycznej. Nazwiska, którymi się zajął Matuzewski

Feliks Fornalczyk

ZMIANY WARTY

w swoim referacie, należą do najwybitniejszych zjawisk poetyckich, nie są też aż tak do siebie podobne, jak to się na ogół mniema, a mimo to przecież sąd tego najbardziej chyba systematycznego czytelnika pośród dzisiejszych krytyków poezji był pesymistyczny.

Młode pokolenie poetów regionów północno-zachodnich nie wzorowało się jednakże na Młodej Polsce czy ekspresjonistach. Nie sądzą też, aby na modernizmie właśnie mieli się wzorować młodzi poeci ośrodków centralnych. To raczej zabieg krytyka skojarzył zjawiska współczesne z wcześniejszymi, ograniczając się zresztą tylko do zewnętrznego podobieństwa, i to raczej z dziedziny stylu bycia, niż stylu literackiego.

Żaden bodaj z modeli — oprócz chyba Skamandryckiego — nie znajduje się u młodych w większej pogardzie, niż stylizacja literacka Młodej Polski. Tak zwany współczesny dekadentyzm młodej poezji dzisiejszej ma inne przyczyny. Wzory dla stylu dzisiejszych poetów znajdują znacznie bliżej, w sferze gustów reprezentowanych przez kierowników działów poezji w redakcjach periodyków kulturalnych i wydawnictw.

W sytuacji, kiedy nie może liczyć na uznanie wersyfikacji tradycyjnej, kiedy uznanie zdobywa coś, co egzystuje na papierach nowoczesności i co w końcu można napisać bez większego wysiłku, młodzi kandydaci na poetów piszą „pod redakcję”, „pod modny styl”. To są — moim zdaniem — czynniki kształ-

Rozmyślenia o literaturze

tujące modę i nie troszczące się o treść, o idee, o zaświadczenie postaw, stwarzające w swej masie wrażenie dekadentckiego rozchwilania.

Kiedy zanikły dyskusje o problemach estetycznych, ideowych i politycznych, młodzi poeci — nie mający przecież w tych sprawach większego doświadczenia — zostali skazani na przypadkowe poszukiwania, nie określone żadnymi racjonalnymi wyznacznikami. Stąd to w wierszach młodych prowincjuszy tyle obrazków krajoznawczych, tyle realiów miejskich i małomiasteczkowych, stąd tyle wierszy miłosnych, najczęściej na poziomie szlamuchowym, pamiętnikarskim.

Temat światopoglądowy, temat jakichś poważniejszych rozrachunków moralnych, jest tematem odwiecznym,

niestychanie rzadko podejmowanym. Jeśli zaś nawet takie wiersze się trafiają, to także nie wychodzą zwykle poza stwierdzenia banalne, poza gładkie deklaracje swoich przekonań itp. Zanikła prawie forma wiersza polemicznego, poematu dyskursywnego. Swoje uczucia i myśli młodzi poeci wypowiadają w miniaturze lirycznej, obrazku, tak jakby na tyle wystarczyło im tylko pa-sji, przemyśleń, wiedzy o życiu.

Sprawa nie jest prosta. Istotnie doświadczenia młodych ludzi dzisiejszego pokolenia nie obfitowały w dramatyczne doznania: szkoła, życie raczej ułatwione, kawiarnia, co najwyżej jakieś drobne nieporozumienia towarzyskie. Więc stąd nuda i spleen. Wygląda na to, jakby właśnie owa nuda miała stać się cechą wyróżniającą dzisiejsze pokolenie literackie. Istnieje zatem potrzeba zamoczenia tego bezruchu, tej uludzonej letniej wody.

Najenergiczniejsi młodzi ludzie wyzywają się więc w walce o względy dziewcząt i sukcesy czy niepowodzenia na tym polu dokumentują w swoich utworach pisanych, inni — łagodniejsi — stają się sielankopisarzami. Gdzie jak gdzie, ale właśnie na prowincji objawiło się w latach ostatnich niezwykle wyraźnie zainicjowane i nieodwołalnie przyrodzone, ucieczka w odtwarzaniu mikrokosmosu otaczającego ich środowiska, codziennych sprzętów i codziennych zdarzeń.

Właściwy tym zainteresowaniem sentymentalizm przyoblekają jedynie w maskę okrucieństwa, gwałtowności,

brutalności. Nie potrafie sobie bowiem wyobrazić poety w roli brutalnej, jeśli wraca on z takim upodobaniem do opisów spiżarni, kuchni i tym tematom poświęca całe zbiory, całe cykle wierszy. Powstają więc całymi pejskami owe opisowe, naskórkowe martwe natury. A wiadomo, kiedy malarze malują zwykłe martwe natury.

Nie ma rady: jeśli młodzi poeci nie wypowiedzą czegoś własnego z ich własnego świata, czegoś na prawdę nowego i autentycznego, tak zwana nowa poezja zemdla na paraliżu. Tak jak to obserwuje się już w różnych sferach ośrodków artystycznych. Na szczęście coraz widoczniejsze stają się jednak objawy ożywienia. Dzisiejsi najmłodszy poeci szukają własnej odrębności, próbują ustaleń teoretycznych i — jak na razie przynajmniej — wypowiadają zaufanie i wierność obecnym kierunkom, panującym w poezji.

Mgławie to jeszcze sprzeczki, ale takie zwykle bywają początki każdej kolejnej zmiany warty. Na razie, jak dowiodła tego dyskusja na bydgoskiej Wiosnie Poetyckiej, nasi najmłodszy poeci wiedzą, co im nie odpowiada, przeciw komu piszą, jakich nazwisk literackich nie uznają za swoich przewodników. Jesteśmy więc świadkami dość szeroko zakrojonego nowego frontu w literaturze, frontu, na którym największe zadanie przypada oddziałom rozpoznania i wstępnym polyczkom polemicznym.

Obserwujemy te polyczki, bo to ciekawy etap sporów o nowy podział terytoriów w literaturze.

RAK JEST ULECZALNY

Często spotykamy się z opinią, że choroby nowotworowe, a w szczególności rak są zjawiskiem zupełnie nie opanowanym przez medycynę, skutkiem czego z góry przesądza los chorego. Mniemając, iż opinia ta nie jest słuszna, zwróciliśmy się do dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Onkologicznego w Poznaniu — dr. Stefana Skowrońskiego o wypowiedź na ten temat.

— Panie doktorze, na samym wstępie pytanie: jak dalece nieśluszną jest opinia o nieuleczalności raka?

— Jest ona z gruntu błędna i zdecydowanie szkodliwa, a tym gorzej, że bardzo powszechna. Rak wcześniej odkryty jest uleczały. To prawda, że nie ma jeszcze na świecie radykalnego, 100-procentowego środka na zwalczanie czy zapobieganie tej chorobie, ale wypracowane już przez medycynę metody leczenia dają poważne rezultaty. Możemy każdemu pomóc, a kilka tysięcy naszych byłych pacjentów cieszy się po zabiegach dobrym zdrowiem.

Rzecz jasna, że nawet wśród nowotworów zawczasu ujawnionych są przypadki form szczególnie złośliwych, bardzo trudnych do opanowania. Systematyczne badania i statystyka pozwalają nam jednak na takie uogólnienia: rak I stopnia uleczalny jest w 80—90 procentach, II stopnia — w 50—60, a III w 20—30 proc. A więc, jak widać, decyduje w znacznym mierze czas wykrycia schorzenia.

— I tu chyba tkwi część zła. Miałem okazję nieraz zaobserwować, że strach u ludzi przed ujawnieniem raka jest ogromny. Wręcz wolą nie wiedzieć, utrzymywać się w niepewności, choć zdają sobie sprawę, czym to

grozi. Ale to chyba odruch naturalny mimo, że niepożądany.

— Przełamanie tych oporów pozwoliłoby na poważne złagodzenie problemu raka. Docierałoby do nas więcej przypadków I stopnia, a więc i skuteczność leczenia byłaby znacznie większa. Na przykład wykrycie raka w tak zwanej formie przedinwazyjnej, daje 100-procentowy rezultat leczenia. Rak nie leczony tymczasem — powoduje zawsze śmierć. W obliczu takiej alternatywy konieczność wyzbycia się strachu jest dla każdego chyba oczywista. Jednakowoż obserwujemy powolny, stały wzrost liczby badań

Czasami w pewnych, nieznanych dotychczas warunkach, komórki tkanki i narządów, z których jest zbudowany organizm ludzki, zaczynają mnożyć się i wzrastać niezależnie od potrzeb tego organizmu. Ten niecelowy i chaotyczny wzrost komórek prowadzi do powstawania tworów beżytecznych i szkodliwych dla czynności każdego organizmu. Nazywamy je nowotworami. Najczęściej spotykanym nowotworem jest rak, który rosnąc niszczy otaczające go tkanki.

profilaktycznych w zakładach pracy. To jest jedna z lepszych dróg zwalczania raka. Inna sprawa to zaznajomienie społeczeństwa z objawami tej choroby.

— Może wobec tego parę słów o rozpoznawaniu raka?

— Trudno będzie o tym powiedzieć w kilku zdaniach, tym bardziej, że początkowe jego objawy nie są charakterystyczne. Aby przypadkiem nie wprowadzić kogoś w błąd, wymienię tu tylko kilka najbardziej typowych: rak piersi u kobiet odznacza się przeważnie małym, twardym ale niebolesnym guzkiem; rakowi żołądka towarzyszą dłuższe trwające, nawet niezbyt silne dolegliwości żołądkowe. Rak jelita grubego charakteryzuje się stałym skąpym i bezbolesnym krwawieniem i przewlekłym zaparciem stolca. Bóle w klatce piersiowej, kaszel, stany podgorączkowe przeciągające się w czasie, niekiedy krew w płocinie — mogą być objawami raka płuc. Trzeba tu dodać, że objawy te mogą występować również przy innych chorobach, mimo to zawsze wymagają dokładnego zbadania w celu wykluczenia raka. Obserwujemy, że mężczyźni nawiadza najczęściej rak płuc i żołądka, a kobiety — sutek piersi i szyjki

macicy. Przy okazji dygresja: moim zdaniem palenie papierosów jest z pewnością jednym z czynników powstawania raka płuc, krtani, a już co najmniej sprzyja tej chorobie.

— Sądzę, że unikanie przez ludzi przychodni onkologicznych spowodowane jest także obawą przed metodami leczenia raka, o których wiemy bardzo niewiele.

— Może wynika to z faktu, że do niedawna leczono raka przeważnie

Rak nie jest dziedziczny, choć może występować u kilku członków rodziny, ponieważ jest chorobą częstą. W pewnych rodzinach może jednak istnieć zwiększona skłonność do zachorowań na nowotwory.

chirurgicznie oraz promieniami Rentgena, izotopów: kobaltu i radu, fosforu, jodu itp. Dziś stosujemy obok starych, nowe metody zwane hormonoterapią i chemioterapią. Posługujemy się nimi przeważnie łącznie w różnych zestawieniach, w zależności od schorzenia. Pozwoliło to na pewne ograniczenie zabiegów chirurgicznych; pozostałe środki zwalczania raka nie powodują bolesnych dolegliwości. Leczenie trwa przeciętnie od 3 do 6 tygodni; na ogół jest dobrze znoszone przez pacjentów. A więc i tu lęk chorych jest nieuzasadniony.

W każdym razie znachorskie stosowanie różnych ziół i preparatów „domowego pomysłu” absolutnie nie nic w leczeniu raka nie pomoże i przystąpienie do leczenia onkologicznego okaże się niezbędne.

— A czy badanie onkologiczne w przychodni pozwala na postawienie trafnej diagnozy?

— Na ogół tak. Właśnie dzięki możliwości ujawniania nawet bardzo wczesnych form raka, możemy wie-

Bóle w schorzeniach nowotworowych występują najczęściej wówczas, gdy choroba wykazuje znaczny stopień zaawansowania. Nie należy więc czekać na wystąpienie bólów. Wykryciem i leczeniem raka zajmują się: Wojewódzka Poradnia Onkologiczna — Poznań, ul. Słowackiego 8, Wojewódzki Ośrodek Onkologiczny — Poznań, ul. Garbary 15, Miejska Poradnia Onkologiczna — Poznań, ul. Chudoby 9.

le pomóc. Stąd też zachęcamy jak najbardziej do badań profilaktycznych. Znacznie chętniej widzimy w naszym ośrodku chorych „niezaawansowanych”, o dużych szansach wyleczenia. A trzeba dobrze pamiętać, że szanse te maleją w miarę zwlekania z wizytą u lekarza.

Notował: Zbigniew Mika

Eugeniusz Pauksza

Jeszcze o seriach

Biblioteka Powszechna, która szerszej części poświęconej podróży brazylijskiej, to fragmenty odnalezionego na ostatnim miejscu postoju pamiętnika...

W drugiej ze swych popularnych serii „Człowiek poznaje świat” opublikowały obecnie „Iskry” nową, bardzo ciekawą pozycję. To „TRZY WSCHODY SŁONCA” Leszka Dąbrowskiego i Zofii Jędrzejewskiej, wartko napisana relacja z dzisiejszego Egiptu, osnuta na tle wypraw Polskiej Misji Archeologicznej w tym kraju.

Wbrew pesymistycznym prognostykom nie tylko nie zamarł, ale rozwija się przy PIW-ie „Klub Interesującej Książki”. Warto z tej serii książek polecić „SMIERC I ZMARTWYCHWSTANIE” Fransa Eemila Sillanpää, arcydzieło literatury fińskiej, na tle surowej przyrody kraju ukazującej „dramat prostego człowieka w Finlandii”. Autor, laureat nagrody Nobla, na przykładzie dzieł swego bohatera, Juha Toivola, ukazał o-

z książka na

strość pięć roku 1917 na surowej ziemi fińskiej. W KIK-u również, nakładem PIW-u, ukazała się w przekładzie Witolda Jurkiewicza dwutomowa powieść Jurija Germana „JEDEN ROK”, na tle scenarii leningradzkiej osnuta niemal kryminalna powieść, o silnym jednak wątku moralnym, gdzie bohaterem jest złodziej recydywista, pchnięty na drogę występku poprzez niesprawiedliwy wyrok.

Skoro mowa jest o nowościach PIW-u, zaleciłbym pragnącym gorąco czytelnikom nową pozycję z serii biografii artystycznych. Tym razem jest to książka Johna Storma „DRAMAT ZUZANNY VALADON”, jednej z największych malarzek francuskich, matki genialnego Maurycego Utrillo. I znów widzimy bogatą panoramę Montmartre'u, twórcę cyganerie, największych i miernych, a jeszcze żywy dokoła, związany mocno z Zuzanną Valadon świat ludzi — nie artystów, a przecież wszystkim im bliskich.

Na zakończenie zbieraczom wszelkich naszych edycji albumowych zarekomendować chciałbym dwie arcydziełowe pozycje. Pierwsza z nich, to nowy majstersztyk edytorski „Sportu i Turystyki”, piękny album „GRECJA”, tekst piera Jana Parandowskiego, zdjęcia zaś jego syna — Zbigniewa. Drugim albumem jest opracowanie Jerzego Banacha „TEMATY MUZYCZNE W PLASTYCE POLSKIEJ” (Polskie Wydawnictwo Muzyczne), gdzie jakość i mnogość grafiki i rysunków z tego zakresu budzi prawdziwe zdumienie.

wono-Czarnych” go home! I nie pomogą tu końcowe zastrzeżenia autora, iż nie walczą on z niczym innym, jak z pewnymi wulgarnymi formami muzycznymi. Wydaje się, że po prostu w publicystycznym ferworze wymierzył on zbyt mocne uderzenie.

W tejże Współczesności opublikowano całostronicowy List otwarty do przewodniczącego Prezydium WRN w Kielcach piera Jerzego Miksa. Można by listów pominąć milczeniem, jako że porusza on głównie problemy regionalne kieleccy. Zwraca jednakże uwagę nonszalancką formą, w jakiej publicysta zwraca się do swego wyimaginowanego rozmówcy, z którym nie danym mu było rozmawiać. J. Miksa bowiem obok sporej dozy rzeczowych argumentów, urezany wyraźnie faktem „przekazania go” przez przewodniczącego PWRN „w ręce” jego zastępcy — zawarł w swym „Liście” szereg uszczypliwości i pouczeń. Nie wydaje się aby autor przysłużył się dobremu imieniu dziennikarstwa.

W sprawie zadań krytyki

Szpilkki znów przyniosły niezwykle dowcipny List Teofila. Odpowiedź felietonisty na slingowany list, drukujemy we fragmentach. „Wszystko, mój drogi przyjacielu, wydaje się wskazywać na to, że zadania krytyki literackiej w naszej rzeczywistości są zupełnie wyjątkowe. Krytyków mamy coraz więcej. Mamy już ich tak dużo, że są oni właściwie głównymi, jeśli nie jedynymi czytelnikami książek, których jest coraz mniej. Można więc śmiało powiedzieć, że zaawansowali oni do roli reprezentantów, przedstawicieli społeczeństwa, wydelegowanych dla spełnienia ważnej funkcji czytania książek w imieniu tegoż społeczeństwa...”

I — na zakończenie — aktualne „szpilkowe” hasło tygodnia: DBAJ O WYGODNY ROZKŁAD POŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO!

LEKTOR

Z TEK I ST. MROWIŃSKIEGO



Zygmunt Salata - plastyk



Od zamknięcia XXXI Międzynarodowych Targów Poznańskich dzieli nas dokładnie tydzień. Nasze cotygodniowe: Nowa Kultura i Przegląd Kulturalny poświęciły omówieniu ostatnich MTP obszerne pozycje. W NK Kamil Chmurzyński w artykule Wspomnienia z Targów Poznańskich dość szczegółowo omówił ekspozycje czołowych państw-wystawców, uwyppuklając znaczenie Targów dla zbliżenia Wschód-Zachód. W PK Andrzej Witkowski skoncentrował się przede wszystkim na ukazaniu charakteru ekspozycji polskiej (nie ustrzegł się przy tym błędów, pisząc o silnikach okrętowych z HCP; szwajcarska firma licencyjna nazywa się „Sulzer”).

Jak uczyć

Temu problemowi poświęcony jest wywiad z prof. Józefem Hurmice, opublikowany w Przeglądzie Kulturalnym. Uczony odpowiada na niełatwe pytania, jakie czekają naukę polską problemy w okresie najbliższych 20 lat. Oto wstępna odpowiedź Profesora:

„Ludzie nowej epoki muszą wiele korzystać z osiągnięć nauki, muszą więc być bardzo wykształceni. W związku z tym rodzi się myśl, że powinni się uczyć dłużej, niż uczą się obecnie. Czy wniosek ten jest jednak słuszny? Ja bym go śmiało kwestionował.”

„Za dużo jest tradycjonalizmu w naszych metodach nauczania, a niewątpliwie za słaby nacisk kładzie się na wdrażanie do samodzielnego myślenia.

nia. Studia wyższe powinny ulec znacznej modyfikacji, przede wszystkim w kierunku redukcji materiału pamięciowego, unowocześnienia tematyki i rozwijania samodzielności studenta.”

Przywiązanie i tradycja

Il Zjazd Ateistów i Wolnomyślicieli wybrał nowe władze Stowarzyszenia. Przewodniczącym nowo wybranego Zarządu Głównego SAIW został prof. dr Tadeusz Pasierbiński — dziekan Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Tygodnik Argumenty opublikował wywiad z prof. T. P. Wstępne pytanie brzmiało: „Jakie zadania — zdaniem Pana Profesora — wysuwają się obecnie na czoło działalności ruchu ateistycznego?”

A oto fragmenty odpowiedzi: „Na Zjeździe mówiło się wiele o potrzebie szerszego niż dotychczas wprowadzenia obrzędowości świeckiej na miejsce obrzędowości religijnej. Sądzę, że jeszcze wiele jest tu do zrobienia. Obrzędowość jest tym czynnikiem, który najbardziej wiąże ludzi z religią. Na ogół stosunek mieszkańców wsi, czy nawet miast, do religii jako systemu dogmatyczno-filozoficznego jest obojętny. Natomiast tym, co wiąże ludzi z religią są obrzędy przechodzące z pokolenia na pokolenie. Np. nawet postępowi młodzież wiejska nie chce rezygnować z nadawania uroczystego charakteru różnym, ważnym wydarzeniom w swoim życiu (...) Stowarzyszenie może odegrać tu rolę czynnika inicjującego, inspirującego, pobudzającego proces zmian w sferze obyczajowej.”

Inwazja kobiet w medycynie?

Z pewnością gorąco będzie dyskutowany w kółach lekarskich artykuł Jerzego Urbana (Medycyna pod szpilką), wydrukowany w najnowszym wydaniu Polityki. Autor, poczynając od wieku XIX, kiedy to w Warszawie podjęła pracę pierwsza kobieta lekarz — dr Anna Tomaszewiczówna, analizuje zmieniające się proporcje w składzie naszej kadry lekarskiej. Obecnie na studiach me-

dycznych mamy w Polsce około 55 proc. kobiet. Przed dwoma laty na 27.569 lekarzy w kraju, kobiet było 11.025. Dzisiaj pracuje w Polsce ponad 31.000 lekarzy, a udział procentowy niewiast, w stosunku do roku 1960, znacznie się podniósł.

Jerzy Urban, traktując zresztą problem osłabienia i faktownie, sygnalizuje niepokojące zjawiska, towarzyszące „feminizacji” zawodu lekarskiego. Dowodzi on że kobiety-lekarki zgoda wyjątkowo podejmują pracę na głębokiej prowincji: przed udueniem się w tzw. teren — lekarki-panny powsirzymuje obawa przed rezygnacją z małrymonialnych aspiracji; lekarki-mężatki zaś — fakt związania się już z współmałżonkiem, pracującym w mieście. J. Urban wykazuje ponadto, iż tylko bardzo nieliczne niewiasty obierają drogę naukową w specjalnościach medycznych.

Występując zdecydowanie przeciwko administracyjnym metodom regulowania składu płciowego studiujących medycynę — publicysta Polityki zwraca uwagę na konieczność możliwie szybkiego przedyskutowania przedstawionego problemu.

Mocne uderzenie?

Dalecy jesteśmy od entuzjasmowania się zespołem „Czerwono-Czarnych”, znanych już z występów niemal w całym kraju. Faktu jednak, iż na koncerty tegoż zespołu młodzież waliła i wali — pominąć nie sposób. Jak to się mówi — coś w tym musi być. Coś musi być w tym, że ta sama młodzież ignoruje rozmaite inne imprezy, na te zaś, o których wyżej mowa — przychodzi nie zapraszana, nie zachęcana.

Mocno nie podoba się to publiczności dwutygodnika Współczesność — Mirosławowi Malcharekowi. W artykule pt. „Big-Beat — mocne uderzenie” — miadży on „Czerwono-Czarnych” i jego sympatyków. M. Malcharek wręcz woła „Czer-